

NA DALEKI WSCHÓD

KARTKI Z PODRÓŻY

WACŁAW SIEROSZEWSKI

Wacław Sieroszewski

Na daleki wschód.
Kartki z podróży

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Wacław Sieroszewski
„Na daleki wschód. Kartki z podróży”

Copyright © by Wacław Sieroszewski, 1904
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Kamil Skitek
Projekt okładki: Kamil Skitek
Zdjęcie na okładce: © Pixabay - strikers
Druk: Drukarnia Rubieszewskiego i Wrotnowskiego
Wydawnictwo: Gebethner i Wolff
Warszawa - Kraków, 1904

ISBN: 978-83-8119-203-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

NA PROGU.

Przez drzwi otwarte widzę daleko przed sobą sino-żółtą dal oceanu, łączącą się z nieba błękitem. Bliżej na brzegu kołyszą się ciemne zarysy wysmukłych cudzoziemskich drzew. Fale szemrzą łagodnie, rzucając na żółte piachy czuby perłowych pian. Ciepłe powiewy niosą, zapach przygrzanych słońcem porostów...

O dusze, utrudzone w deptakach codziennego życia, jakże chętnie zabrałbym was z sobą!...

Pomknęlibyśmy w przesłonecznione przestworza, podawszy wichrom pierś, zmiętą w ciasnocie...

Rozpostarlibyśmy zmartwiałe w bezczynności skrzydła na całą ich długość...

Dopóty czerpalibyśmy w zwiędłe płuca ożywczych eterów z innych wolnych sfer, aż znowu poczulibyśmy w każdym swem tętnie radość bytu i żądzę czynu...

Nie myśląc o jutrze, wypoczywalibyśmy na statkach, ślizgających się bez troski po kryształowych odmętach...

Brnęlibyśmy po piachach gorących, zrzuciwszy twarde, miejskie obuwie...

Zajrzelibyśmy do puszczy, do dzikich ostępów, gdzie kryją się dziwaczne twory, gdzie kwitną nieznane kwiaty...

Wśród ludów obcych, w świątyniach cudzych nauczylibyśmy się szanować siebie samych i zobaczylibyśmy, że krew i łyż wszędzie mają ten sam blask i kolor...

Błądzilibyśmy wśród ruin, wśród pałaców i lepianek, uzbrojeni jedynie w życzliwość i współczucie, aż syci wrażeń, usłyszelibyśmy znowu ten cichy, wielogłosy jęk, którego echo zabraliśmy z sobą, zamknięte w sercu, jak kropla rosy w kielichu powoju...

Naówczas wróciliśmy lepsi i silniejsi, aby znowu podstawić wygojone barki pod ciężar istnienia, co musi być wciąż wtaczany do góry, gdyż inaczej zgniótłby wszystkich, okaleczył istoty droższe nam nad życie...

O dusze utrudzone! Odchodzę z myślą o was i z myślą o was będę całą potęgą zmysłów chłonał wrażenia świata, aby z czasem powiedzieć wam cicho, com widział...

ZAMIAST WSTĘPU.

— Proszę o bilet miejsca w pośpiesznym pociągu syberyjskim.

— Czy pan zamawiał?

— Telegrafowałem dwa dni temu.

Błada, niedokrwista kasyerka długo i ospale przewraca w stosie papierów.

— Depesza gdzieś się zapodziała Ach, jest!... Przepraszam. Którą klasą pan jedzie?

Podaję bilet wolnego przejazdu, wydany mi na całą drogę przez główny Zarząd dróg i komunikacji.

— Za tym biletem... pan pociągiem syberyjskim... nie może

jechać! — cedzi kasyerka.

— Jakto?! Pani nie spostrzegła pewnie, że jest zaopatrzony stemplem, dającym prawo przejazdu i pośpiesznymi i kuryerskimi pociągami.

— Owszem, spostrzegłam. Lecz to nie to.. otrzymaliśmy okólnik... co do ekspresu.

— A więc chodzą do Syberyi inne jeszcze pośpieszne pociągi?
Kasyerka trzęsie głową.

— Cóż zatem znaczy ta sprzeczność?... Co to za okólnik i gdzie się o nim dowiedzieć można?... Przypuszczam, że go pani źle tłómaczy. Mam prawo tłómaczyć go na swoją korzyść. Gdybym był wiedział o nim, prosiłbym o przyłożenie i waszej, syberyjskiej pieczętki. Sądzę, że zarząd nie odmówiłby mi. Zależy mi wielce na pośpiechu... Muszę jechać tym pociągiem.

— Niech pan weźmie drugi bilet... za pieniądze.

— Wolne żarty. Nie mam zamiaru. Wysłała mię Instytucya naukowa rządowa i z tego jedynie powodu korzystam z wolnego przejazdu...

— W takim razie... niech się pan zwróci do naczelnika stacyi... lub naczelnika ruchu. Bez ich pozwolenia nie wydam panu biletu na miejsce i nie ostempluję kuponu na przejazd. Mamy wyraźną instrukcyę!

Naczelnika stacyi niema i nie wiadomo gdzie się podział. Zamiast go szukać, biorę dorożkę i każę wieźć się do Zarządu kolei Moskiewsko-Kurskiej.

Mroźna, nasycona lodowemi igłami wichura dmie prosto w oczy. Złoto-czerwono-zielono-błękitno-szare miasto blado majaczy wśród kłębów zamieci. Zimno mię na wylot przejmuje,

gdyż nie wziąłem futra, pewny, iż z wygodą podróżować będę cały czas w ciepłym pociągu. Wchodzę od frontu do ogromnego koszarowego budynku, stojącego pogardliwie bokiem do głównej ulicy. Wewnątrz roi się tłum urzędników. Setki futer, płaszców, paltotów wiszą na szaragach. Z przedsionka w głąb po szerokich, wygodnych schodach prowadzi drzwi kilkoro. Puszczają mnie przez „te mniejsze”. Naczelnika ruchu niema. Powinien przyjechać... za godzinę. Czekam dwie godziny w poczekalni, pełnej znużonych i zdenerwowanych interesantów; naczelnika wciąż niema. Mam tylko pięć godzin czasu, a muszę być jeszcze w Muzeum antropologicznym, gdzie zostawiłem przyrzady.

Wreszcie woźny wzywa mię. Wchodzę do eleganckiego gabinetu. Gruby jegomość za zielonym stołem łaskawie kiwa mi głową.

Wyłuszczam mu swoją sprawę.

— To nie moja rzecz. Niech pan się uda do naczelnika zarządu.

Naczelnika niema, przyjmuje mnie jego pomocnik.

— Nic na to poradzić nie mogę. Istotnie, odebraliśmy niedawno okólnik...

— Ale cóż winna publiczność, że nic o nim nie wie? Nie ogłoszono go... W przepisach kolejowych go niema.

W odpowiedzi odbieram ruch ramion.

— Przypuszczam, że zły bilet dostałem przez omyłkę. Bardzo się śpieszę. Sekretarz ministra komunikacyi upewnił mię, że za tym biletem mogę jechać i kuryerskimi pociągami.

— Oni tam... w Petersburgu zawsze... Już mamy drugi taki

wypadek.

— Doprawdy, to omyłka. Nie przypuszczam, aby władze, tak ze mną uprzejme, chciały mi stawiać niespodziewane przeszkody. Niech mi pan w tej mojej przygodzie pomoże.

— Przedstawię sprawę naczelnikowi zarządu, lecz nie wiem...
— brzmiała niechętna odpowiedź.

Przestrzenie w Moskwie ogromne. Na szczęście dorożkarze mają dobre konie. Wracam po załatwieniu interesów przemarzły do kości, ale pełen otuchy. Naczelnik przyjmuje mię jednak już nie w gabinecie, lecz na korytarzu. Zły znak! Ogląda uważnie mój skromny ubiór podróżny.

— Więc to pana wysłała Akademia umiejętności?

— Tak.

— Do Japonii?

— Do Japonii.

Broda łaskawie porusza się zlekka.

— Nic dla pana uczynić nie możemy.

— Wszak nie proszę o łaskę; chodzi jedynie o poprawienie omyłki.

— To wcale nie omyłka. Petersburg tak zawsze... Postanawia, nie spytawszy się nikogo o nic, a później... mamy kłopoty... Oni gotowi są wyzuć Moskwę ze wszystkiego...

Historyczna niechęć Moskwy do Petersburga, wmieszana do mojej błahej sprawy, rozweseliła mię trochę.

— Widzę, że dla pana to jedynie zabawne wydarzenie, tymczasem ja spóźnię się wszędzie i popłaczę cały plan podróży.

— Niech pan telegrafuje na swój koszt do ministra komunikacji.

— Ale w każdym razie tym pociągiem już nie pojedę?...

— O nie! zaczeka pan trzy dni.

Krótki rachunek przekonywa mię, że nawet w razie powodzenia stracę czas i pieniądze. Postanawiam wyjechać najbliższym pociągiem, odsunąć się jak najrychlej i jak najdalej...

Odchodząc, dziękuję za życzliwość.

Przyjmują szczyptę mej ironii za dobrą monetę.

ZAGRZEBANI W ŚNIEGU.

Znalazłem się sam nietylko w przedziale, ale i w całym wagonie. Zdaje się, że pierwszą klasą nikt tu nie jeździ. Konduktor obejrzał bilet i gdzieś się podział. Pociąg monotonnie zadudnił po przemarzłych podkładach i szynach. Brzęczały szyby, zgrzytały kiedy niekiedy hamulce, podzwaniały łańcuchy, pociąg gwizdał, stawał, znowu ruszał, jęczały dzwonki, migały światła stacyjne... ale wszystko to były dźwięki zewnętrzne, nie naruszające zupełnie osamotnienia mojego wagonu. Czuję się niby w szklanej trumnie, w rzęsiście oświetlonem, wydłużonem pudle, wleczonem przez „żelaznego smoka”.

Chodzę po wązkim korytarzyku, zaglądam do pustych przedziałów, gdzie błyszczą martwo lustra. i złocone brzozy, wodzę wzrokiem po pustych siatkach, po firankach trzęsących się od ruchu pociągu. Jest coś tajemniczego we wszystkim, co jest związane z podróżą, tym symbolem życia, gdyż nawet ci, którzy siedzą na miejscu, wciąż przecież dokądś dążą i szukają

czegoś i nigdy nie są pewni jutra.

Ile złoconej nędzy, występku, rozpacz, ile tęczyowych marzeń i nadziei, ile ambicyi, wyrachowania, lub bolesnej na wszystko obojętności, przewiozły te wygodne chwilowe więzienia?...

Ogarnął mię letarg podróżniczy, a następnie senność. Wołam na posługacza aby mi przygotował posłanie, lecz ani znaleźć go, ani dowołać się nie mogę. Wówczas przypominam sobie rady przyjaciół: „Wystrzegaj się jeździć samotnie w przedziale pierwszej klasy”. Nadomiar przypominam sobie, że istotnie czytałem niedawno w gazetach o bandzie kolejowych opryszków, operujących gdzieś w tych miejscowościach. Rad nierad otwieram kuferek i wyjmuję rewolwer, a klamkę drzwi przywiązuję mocno do jakiegoś haczyka. Słyszałem później w nocy, jak się ktoś dobijał; pewnie konduktor albo kontroler, ale nie otworzyłem. Trudno: uprzejmość moja nie mogła przezwyciężyć wstrętu do zimnej podłogi. Sznurek okazał się dobrym wynalazkiem, zwykłe zamknięcie na klameczkę wcale nie zabezpiecza. W moich oczach jakiś jegomość, chcąc się dostać do zamkniętego przedziału, wyjął z kieszeni zwykłe, płaskie szcypce i zamek otworzył. W nowych syberyjskich wagonach są już wszędzie łańcuszki i chociaż rzezimieszkowie przecinają je z łatwością, ale bądź co bądź jest to przeszkoda... W starych wagonach śpiący pasażer jest zupełnie na łasce służby kolejowej i złodziei... Wciąż na liniach wschodnich i syberyjskich słyhać skargi na kradzieże. Zdarzają się nawet morderstwa.

Ale samotność ma w podróży wiele też uroku. Zamiast więc szukać uciążliwego towarzystwa, nauczyłem się barykadować drzwi. Używałem do tego stolika, który doskonale mieścił się we

framudze i naciskał na klamkę.

Obudziłem się nazajutrz o wschodzie słońca. Wokoło rozścielała się bezkresna, zaśnieżona równina. Tu i owdzie, niby blade obłoczki, szarzały gaje i smugi brzeźniaku; nad nimi, na zachodzie, wisiał na szafirowym niebie blady sierp młodego księżyca. Pociąg, ciężko dysząc, leciał ku słońcu, które wielkie i czerwone, to wychylało się, to nikło w kłębach różowego dymu lokomotywy. Biegliśmy pod wiatr, więc dym owijał nas wciąż niby welon. I dzień następny i noc pociąg leciał przez zaśnieżone stepy. W dali majaczyły tu i owdzie wioski szare, niskie, przytulone do ziemi, jak stada zziębłych kuropatw. Liczne wiatraki świadczyły o żyzności ziemi, lecz... pomimo wiatru skrzydła ich tkwiły nieruchomo w błękitach. Może nie miały co mleć w tym roku, a może wiatr był dla nich za silny.

Istotnie wiatr, w miarę posuwania się pociągu na wschód, wzmagął się, nabierał cech wichury.

W Samarze za radą generała, który znał dobrze te okolice, zrobiłem zapas żywności.

— Może się panu uda szczęśliwie... przeskoczyć przez nasz Złatoust, ale... zawsze lepiej mieć coś z sobą!

Na stacyi dużo gadano o wypadku, który zdarzył się niedawno (28 lutego) na Uralskiej przełęczy. Pociąg spadł z nasypu i według sprawozdań gazet było 50 rannych i kilku zabitych.

Droga między Syzranem a Złatoustem uważana jest za najgorszą i najniebezpieczniejszą w całej Rosyi. Ciągłe zdarzają się rozmaite wypadki.

Podróżni przygotowywali się do przebycia tej części drogi, jak do jakiej wojennej wyprawy.

Miałem już w wagonie współtowarzyszów. Wprawdzie generał wysiadł w Samarze, ale natomiast damski przedział zajęła jakaś dystygowana Angielka.

We dnie wiatr przycichł, i pędziliśmy wesoło wśród słonecznych kryształowych błękitów, podziwiając zasy śniegu, namiecione przez niedawną zawieję. Tydzień temu wstrzymała ona na dwa dni w tem miejscu cały ruch pociągów. Zupełny bezruch powietrza budził w nas nadzieję, że się nam uda przemknąć szczęśliwie przez fatalne miejsce. Mróz skrzył się smugami brylantów na pooranych przez wichurę śniegach. Zbielałe od sadzi drzewa stały spokojnie w swym muślinowym ubiorze. Lecz palacz z naszego wagonu, spytany o pogodę, pokręcił głową:

— Kto ją odgadnie... pogodę?... Ona przebiegła... czasem się jeno przyczai...

Z pewnym niepokojem spoglądałem na skamieniałe stepy, i chwilami wydawało mi się, że rysy ich już drgają.

Jeszcze nie drgały naówczas, ale pod wieczór lekkie podmuchy zaczęły mieść śnieg pod koła. Grajczarki białej kurzawy wlatywały z czubów wydm, lecz opadały natychmiast leniwo. Step budził się. Wiatr się zmienił, gonił teraz za nami i jak gdyby igrał: chwycił dym lokomotywy, kotłował go po polach, zwiewał w bok lub obrzucał nas tumanami iskrzącej się w słońcu kurzawy.

Zorza wieczorna zagasła w purpurowych chmurach. Nazajutrz obudził mię niezwykły bieg naszego pociągu. Szarpał, trząsał się i stukał kołami, jak gdyby miał szczerą chęć wykoleić się wkrótce. Wiatr gwizdał zuchwale i rzucał coraz gęstsze obłoki śniegu na uciekające wagony. Na jednej ze stacyi dodano

nam drugą lokomotywę. Niewiele to pomogło: pociąg utykał coraz widoczniej. Nareszcie wstrząsnął się, stanął i zaczął przeraźliwie gwizdać. Wyjrzałem z wagonu: okolica tonęła w mleczej, ryczącej wichurze. Pociąg szarpnął jeszcze kilka razy, poczem znieruchomiał na długo. Wewnątrz i zewnątrz niego rozległy się trwożne głosy, w kłębach śnieżycy zaczerniały cienie ludzi. Ubrałem się i ruszyłem na wywiady. Zaniepokojona Angielka wyglądała przez okno. Wichura w mgnieniu oka przejęła mój jesienny paltot, zaczęła ziębić mię i szczypać. Zaciekawiony, brnąłem jednak przez zaspy ku przedniej lokomotywie. Tam ruszała się gromadka ludzi. Byli to robotnicy kolejowi.

Mało jednak pracowali; oparci na łopatach lub zasłaniając się niemi jak wachlarzami od wiatru, utyskiwali na zimno, wichurę i... drogowego technika. Urzędnik ze znaczkem na czapce coś głośno rozkazywał, ale nie bardzo go słuchano. Wiatr chwytał rozkazy i unosił w stronę przeciwną: trudno było go przekrzyknąć a łatwo nań spędzić, że się nie słyszało. Lokomotywa co czas jakiś gwizdała, z tyłu odpowiadała jej towarzysza, poczem maszyna zaczynała ciężko oddychać, jak człowiek skupiający siły, jej tłok, korby i koła ruszały się z początku wolno, poczem coraz szybciej i szybciej.

Daremne wysiłki: jej tułów wielki zakopcony, zaśnieżony, nie posuwał się na krok, wiatr tymczasem potężniał, mrok zapadał, choć w istocie był przecie poranek. Leciał on nie z nieba, jak zwykle, lecz z ziemi i był jakiś mętno biały, martwy, przerażający. Nieduża z początku zaspą przed lokomotywą wkrótce sięgnęła jej do osi. Robotnicy, choć wzięli się szczerze do łopat, nie zdążyli odrzucać śniegu. Wiatr chwytał go i ciskał

napowrót. A była go w powietrzu taka obfitość, że najbliższe przedmioty przeświecały przezeń słabo, jak przez mleczone szkło.

Naczelnik pociągu kazał podzielić pociąg na kilka części, w nadziei, że mu się uda go przeprowadzić przez zaspę częściowo, po kilka wagonów. Z wielkim mozolem przeciągnięto wagon pocztowy, następne próby poszły jeszcze oporniej. Wagony zasypane były aż po stopnie. Rozwiała się nadzieja odkopania ich, można je było jedynie przeciągnąć przez zaspę. Lokomotywy jęczały od wysiłku, lecz praca okazała się nad ich siły. Mroźny wiatr zwiewał ciepło i osłabiał je, lecący zewsząd śnieg zalepiał otwory, wypełniał szpary i przeloty, topniał, chłodził kocięł i spływał na dół, gdzie znowu zamarzał, tworząc duże sople lodowe, rosnące jak stalaktyty i stalagmity między ziemią a członkami stalowych olbrzymów. Wkrótce gęsta i mocna sieć nici lodowych łączyła maszynę z ziemią. Trzeba ją było wciąż obijać i niszczyć, a ona wciąż powstawała na nowo. Kłęby dymu, pary, chrapliwe świsty, przejmujące chrapanie maszyny, brzęk szarpanych łańcuchów, łoskot uderzanych buforów, sprawiały wrażenie strasznej agonii wlepionego w śniegi pociągu. Ponad tem wszystkim unosiło się wściekłe wycie rozwydrzonej zamieci. Do tumanów lecącego z dołu śniegu dołączyły się obłoki padającego z góry. Świat cały znikł w białej chmurze i długi nasz pociąg ginął w nim, jak mała kruszyna.

Przejmujące zimno zmusiło mię schronić się do wagonu. O tak! była to zamieć, nie ustępująca bynajmniej „purgom” oceanu Lodowatego! Wśród podróżnych wszczął się popłoch. Służba kolejowa traciła głowę. Jeszcze raz z wielkim wysiłkiem

spróbowano przewlec jeden wagon z podróżnymi, lecz po kilku stajaniach wagon wykoleił się i zamknął ostatecznie drogę.

Wtedy odczepiono tylną lokomotywę i posłano ją napowrót na stację po pomoc.

— Czy aby dojdzie? — szeptali konduktorowie.

Zbliżał się wieczór.

W pociągu zawrzało. Głodni podróżni poczęli się burzyć.

— Naczelnik!... Gdzie naczelnik pociągu?! wołali, snując się po wagonach.

— Uciekł na lokomotywie na stację!

— Ależ nie! Siedzi w służbowym wagonie i zapija herbatę!

— Pójdźmy do niego. Nic w ustach nie miałem od rana.

— Co to będzie, gdy zabraknie opału? Zmarzniemy!

Gdy procesja wzburzonych podróżników wtoczyła się do służbowego wagonu, naczelnik pociągu, młody inżynier, bardzo się zmieszał.

— Cóżem ja winien? — tłumaczył się.

— Co nas to obchodzi! Chcemy jeść i nie chcemy zmarznąć. Dlaczego było mało ludzi na drodze? Dlaczego ich dotychczas niema? Pan chciał rzucić nas i uciec... Pan zapija herbatę, kiedy nasze żony i dzieci... nie mogą doprosić się łyka wody gorącej...

— Posłałem na stację po pociąg ratunkowy.

— Czy pan zaręczy, że dojedzie?

Inżynier ruszył ramionami.

— Tego nikt nie wie i przewidzieć nie może. Kazałem przygotować wody gorącej, lecz niech panowie oszczędzają opału, gdyż mało go mamy.

— A co? a co? Zmarzniemy! zamrożą nas żywcem! Co ci kolejarze sobie myślą?!

Inżynier w milczeniu wycierał pot z czoła.

— I w podobny sposób krzywdzą ludzi, którzy zapłacili swoje pieniądze! — srożył się cięty trochę jegomość w lisiem futrze.

— Panowie, niechby nas wszystkich przeprowadzili do jednego wagonu dla zaoszczędzenia opału — proponował inny w bobrowej czapce.

— Zwaryowałeś pan? cały pociąg do jednego wagonu?

— Więc do dwóch.

— A kobiety?... Przecież spać trzeba.

— Będzie cieplej.

— Pociąg ratunkowy przywiezie żywność i opał — znów spróbował uspokoić wzburzonych inżynier.

— Nie zawracaj pan głowy! żaden pociąg w taką zamieć nie dojdzie!...

Na chwilę glosy ucichły, jak gdyby dla wysłuchania odpowiedzi burzy. A burza wyła, huczała, gwizdała, przewalała potoki śniegu ponad wagonami, przewiewała je między kołami, zatykając coraz szczelniej wolne otwory i przedziały. Oddech jej lodowy sięgał nawet głębi wagonów i kołysał blade płomienie świec i lamp.

— W każdym razie proszę... drzewa i świec oszczędzać...

— Panie, jadę z żoną i nie myślę siedzieć w ciemnościach. Kupiłem trzy bilety, aby mieć oddzielny przedział. Teraz słyszę o jakimś projekcie pomieszczenia wszystkich klas — gadał gruby jegomość w lisiem futrze.

— Pan myśli, że to żarty. My tu panu przyślemy nasze

kobiety. Niech pan z niemi pogada! — groził inny.

Inżynier, który napozór popadł w zupełne odrętwienie, nagle ożył.

— Wszystko będzie! Niech się panowie uspokoją! Każę zapalić wszystkie lampy. A jeżeli nie starczy opału, to rozbierzemy budkę najbliższego dróżnika.

Mężowie odeszli ułagodzeni. Jeden z nich tylko huczał dalej, niby bąk, puszczonej w ruch zbyt silną ręką.

— Co panowie im wierzycie! Szelmy, łotry, wyzyskiwacze... Umyślnie wsadzili nas w zaspę... Dla nich to żniwo... gratka! Kto policzy kosztą odkopania? Kolej zapłaci, ile podadzą, a podadzą, co im się żywnie podoba! Ilu ludzi pracuje na linii? Może 300, a może 30?... Kto ich porachuje? Ile im zapłacono? Może dano im po pół rubla, a może i po dwa?... Znam ja te zasy dobrze, sam byłem kolejarzem... Każda taka zamieć to złota żyła... Głupi chyba nie pociągnie... A że nam źle, co ich to obchodzi?... Co ich obchodzi! Rekiny, mówię panom... Ale ja nie dam się skrzywdzić!...

Ten rezolutnie przeniósł się z trzeciej klasy do pierwszej i został moim sąsiadem. Nie miałem czasu jednak słuchać jego gadania, gdyż musiałem śpieszyć na pomoc sąsiadce. Wyglądała na bardzo strapioną. Nic nie jadła i nie żądała nawet wody gorącej na herbatę. Ofiarowałem jej do rozporządzenia moją, zaopatrzoną jako tako w Samarze spiżarnię, i wkrótce piliśmy wesoło wcale niezłą herbatę z wody śniegowej, na małym stoliczku, nawet nakrytym serwetą.

Właśnie opowiadała mi o niepokoju, jaki wywołać musiało jej opóźnienie, gdy rozległ się łoskot i wagon potoczył się, jak pijany. Imbryki z wodą gorącą spadły na siedzenie, pudełko

z biskoptami na ziemię, Angielkę odrzuciło w jeden kąt, a mnie w drugi. Uderzenie powtórzyło się jeszcze kilka razy, ale było już słabsze, poczem rozległ się gwar, który górował nawet nad rykiem zamieci. Angielka już przysła do siebie: nie potrzebowałem jej ratować. Skoczyłem więc do swego przedziału, skąd rozległ się wielki trzask w czasie wstrząśnienia; obawiałem się o żelazne pudło z przyrządami i apteczką. Były tam prócz tego naboje, eter, oraz inne wybuchające i łatwo zapalne substancje.

Widok, jaki ujrzałem, przeraził mię: pudło leżało na ziemi, dnem do góry. Spadając, wywaliło drzwi i gdybym był wówczas w przedziale, niechybnieby mię zabiło, ważyło bowiem przeszło sto kilo. Ale wewnątrz pudła panowała pocieszająca cisza. Nic nie syczało, nie swędziło. Ostrożnie postawiłem je wiekiem do góry i otworzyłem. Dzięki szczelnemu upakowaniu, nawet szkieleto żadne nie pękło.

Odetchnąłem i pobiegłem dowiedzieć się, co znaczył hałas. Okazało się, że przysła lokomotywa, którą posyłano na stację. Przerzynając się przez zasy, nie umiarkowała biegu, wpadła na nas, połamała pierwszy na drodze wagon i wyrzuciła go z szyn. Zostaliśmy więc zakorkowani z dwóch stron przez wykolejone wagony. Zamieć śpiewała nad nami hymn zwycięski. Zasy u niektórych wagonów sięgały platformy.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

